

W podróż zawsze zabieram książki. Ale tym razem to książka w podróż zabrała mnie.

Otóż szperając w mojej bibliotece, trafiłem na książeczkę, o której zapomniałem – wydane w roku 1983 przez Pax „Myśli” Blaise’a Pascala. Widocznie przed laty odłożyłem ją na chwilę, a ktoś – może ja sam – przez nieuwagę stracił ją w ciemną przestrzeń między grzbietami dzieł innych filozofów i ścianą. A może schowała się tam sama?

Sztywną płócienną okładkę chroniła piękna, zielona obwoluta ze szlachetnym wzorkiem imitującym płótno. Była tylko lekko nadgnieciona na dole, ale innych śladów zniszczenia nie nosiła. „Czy ja ją w ogóle czytałem?” – pomyślałem i zaraz poczułem wstyd, bo chciałem się chwalić, że zagłębiałem się w nią żarliwie. Nie mogłem sobie tego jednak przypomnieć.

Otworzyłem ją więc na chybił trafił i... dokonałem odkrycia. Odkrycia tak ważnego, że wstyd niepamiętania Pascala poszedł w ką, a moje myśli pobiegły w zupełnie inną, niespodzianą stronę.

To była mała karteczka, właściwie bilecik, świstek urzędowy wydrukowany na cienkim papierze. Zapisany alfabetem, w którym litery łacińskie mieszały się z cyrylicą. Rok wydania: 1980, Jugosławia, autostrada,

opłata za przejazd, cena 500 dinarów. Pamiątka z mojej pierwszej podróży do wielkiego świata, do prawdziwej Europy – samochodem do Grecji. Przez Czechosłowację, Węgry i Jugosławię.

Bilecik przypomniał mi tę drogę, ale też uświadomił coś innego: że nic, co było na nim urzędowo poświadczane, już nie istnieje. Że nie ma już takiego państwa Jugosławia, że nie ma już takiej waluty jugosłowiański dinar, że nie ma już pewnie tej autostrady, choć tego akurat pewny nie jestem, bo od 1980 roku jakoś mnie w tamtą stronę nie poniosło. Że po Czechosłowacji zostało mgliste wspomnienie, że bał wszystkich państw, z którymi wtedy Polska sąsiadowała, już nie ma. Bilecik-znak czasów ułożyłem z powrotem między kartkami, a książkę odłożyłem na półkę z zamiarem, że niebawem o odkrytym w niej bileciku napiszę.

Całą tę historyjkę odtwarzam teraz z pamięci. Bo... książka znikła. Szukałem kilka dni, ale nie mogłem jej w mojej bibliotece znaleźć. Na pewno się nie mylę: to było to wydanie „Myśli”, na pożółkłym bileciku było „po jugosłowiańsku” wypisane „500 dinarów”, „Jugosławia”, „1980” itd.

Niespodziane zniknięcie Pascala każe mi postawić tezę, że istnieje kategoria książek wędrujących. Tych, które wpadną w rękę w porę, coś ważnego zakomunikują, pokażą kierunek – gdzie i po co jechać – a potem schodzą z oczu, popadają w zapomnienie. I ujawniają się, gdy znów przyjdzie pora. Są takie książki, nieprawdaż...?

W podróż warto zabierać książki. Ale czasami to książka zabiera w podróż nas. Pokieruje, objaśni, ubarwi, rozbawi, zaskoczy nieznanym faktem, pokaże z innej

strony, pomoże z cienia patrzeć na wydarzenia dziejące się w pełnym świetle. Pokona barierę czasu, języka, obyczaju. Wprowadzi w magię miejsca, oczaruje.

Ta książka zabiera w podróż po Europie. W podróż po miejscach – i w czasie. Śladami mistrzów. Tropem zdarzeń. Reportaż, proza literacka, eseje, relacje spisane przez znakomitych polskich autorów. Wszystkie zgromadzone tu teksty były publikowane w „Kontynentach” w latach 2012-2015. A kryterium ich doboru? Proste, jak to w „Kontynentach” – liczy się opowieść.

Zatem:

Tu opowiada się o Europie.

Dariusz Fedor

redaktor naczelny „Kontynentów”

Witold Szabłowski

Reporter

Muzułmanie, którzy malują Mahometa

Wiesz, my jesteśmy... trochę inni – mówi Baba Mondri i zaczepnie się uśmiecha. „My” – sufi w Albanii.

Baba Mondri wciska we mnie cukierka za cukierkiem. Jakby chciał w ten sposób przekonać, że islam – a już z całą pewnością sufizm – jest religią pokoju i nie należy wszystkich muzułmanów traktować jak fanatyków. Cukierki mają smak kawy i powoli robi mi się od nich niedobrze. Nie chcę jednak obrazić mojego gospodarza, lidera trzech milionów wiernych, którego nawet watykańscy dyplomaci nazwali „papieżem bektaszytów”. Siedzimy na eleganckich fotelach w krwistoczerwonym kolorze, ja po jego prawej ręce, pod obrazem z dwoma mężczyznami i kobietą.

– *Kim bu adam?* (Kto to jest?) – pytam po turecku, bo to jedyny język, w jakim jesteśmy się w stanie jakoś porozumieć.

– Prorok Mahomet. A także jego córka i zięć – odpowiada Baba Mondri i zaciekawiony patrzy, jak zareaguję. Choć ma długą białą brodę, powłóczytą białą szatę, która dodaje mu powagi i dostojeństwa, i choć sam wygląda jak towarzysz Mahometa ze starych osmańskich rycin, ciekawość, jaka maluje się na jego twarzy, jest niemal chłopięca.

Patrzę na Babę, Baba patrzy na mnie. Obaj wiemy, że za malowanie Mahometa twarogłowi muzułmanie potrafią karać śmiercią. Wierzą, że islam zabrania publikowania jego wizerunku, i są na tym punkcie bardzo wrażliwi. I ja, i Baba wiemy, co się działo w Europie, gdy w 2005 duński dziennik opublikował karykaturę z Mahometem właśnie – tysiące ludzi wyszły na ulice, by zaprotestować; imam z Mekki nawoływał do bojkotu duńskich towarów; inni imamowie poszli jeszcze dalej i wzywali do wojny z Europą. W nigeryjskim mieście Maiduguri spalono w ramach protestu jedenaście kościołów; w demonstracjach w różnych zakątkach globu zginęło kilkadziesiąt osób.

A tymczasem bektaszyci w Tiranie spokojnie przyjmują gości pod wymalowanym ludzką ręką obrazem Proroka. Jak to możliwe!?

1.

Na placu Skanderbega, albańskiego bohatera narodowego, w centralnym, rozpiętym między osmańskim meczetem a komunistyczną mozaiką punkcie Tirany, próbuję znaleźć taksówkę, która zawiezie mnie do światowego centrum bektaszizmu.

– Bek-ta-szi! – mówię głośno, wyraźnie i powoli, ale i pierwszy, i drugi zagadnięty kierowca rozkłada ręce. Czyżbym coś źle akcentował? Może i tak. Na wszelki wypadek rysuję w powietrzu brodę, jaką noszą święci derwisze. Po tej brodzie pierwszemu taksówkarzowi zapala się w głowie zielone światełko.

– Kryegjyshata! – oznajmia i każe mi się umościć na tylnej skórzanej kanapie swojego mercedesa (ta marka to połowa wszystkich aut w Albanii), odpala silnik i wiezie przez rzekę, przez pole, przez park, w odległą

część Tirany, której jeszcze nie widziałem i pewnie nigdy bym nie zobaczył.

– Niech będzie i Kryegjyshata, obyśmy tylko dojechali – wrzuszam ramionami. Kierowcy tymczasem zbiera się na zwierzenia.

– *Io bektaszi* – tłumaczy po włosku. Choć nie znam tego języka, od kiedy jestem w Albanii, muszę się nim posługiwać niemal codziennie. Co czwarty z czterech milionów Albańczyków jest na emigracji, głównie w Grecji lub właśnie we Włoszech. Robią dzięki temu doskonałą pizzę i prawie wszyscy lepiej albo gorzej mówią w tym pięknym języku.

– *Voi bektaszi?* – dopytuje kierowca.

– *No, io Polacco catolico. Como il papa Giovanni Paolo* – tłumaczę, bo przecież kogo jak kogo, ale polskiego papieża znają w Albanii doskonale. W samym centrum Tirany jest jego ulica, prowadzi na główny stadion. Co drugi Albańczyk wspomina jego wizytę tuż przed upadkiem komunizmu. Wierzą, że to dzięki jego przyjazdowi Ramiz Alia, następca krwawego Envera Hodży, zamiast bronić dyktatury przy pomocy wojska, zwyczajnie pozwolił jej upaść. Na moim kierowcy polski papież nie robi jednak większego wrażenia. Włącza kasetę i zapoznaje mnie z wiązką przebojów albańskiego disco polo. Jedziemy obok dwóch opuszczonych fabryk, a potem przez rząd komunistycznych bloków zamienionych na rromskie półgetto.

– *Zingaro! Zingaro!* – krzyczy kierowca i pokazuje mi palcem grupkę rromskich dzieciaków, które toczą patykiem koło od roweru po asfalcie. Zza ich pleców wyrasta olbrzymi mur z arabskim napisem i dwunastoramienną gwiazdą wyrytą nad bramą. Jesteśmy w Kryegjyshata.

2.

Oślepiające, jasne światło, a w nim trójka ludzi: dwóch mężczyzn i chłopiec czytający Koran. Lokman Perende, nauczyciel małego Haciego, musiał być zaskoczony, gdy wszedł do jego pokoju i zobaczył taki widok. Po jego wejściu mężczyźni rozplnęli się w powietrzu.

– Kto to był? – zapytał.

– Prorok Mahomet i jego zięć Ali – odpowiedział chłopiec.

Może jednak Lokman Perende wcale zaskoczony nie był? Haci Bektasz, syn króla jednego z państweczek, na które w XIII wieku podzielona była Turcja, już jako niemowlę w kołysce recytował sury z Koranu i czynił mniejsze lub większe cuda. Kiedyś na przykład jego nauczyciel miał oddać się rytualnej ablucji przed modlitwą.

– Muszę iść do strumienia – powiedział.

– Nie musisz – odpowiedział jego podopieczny, po czym zamknął oczy, pomodlił się i po chwili strumień czystej wody wytrysnął u jego stóp. Później wyrosły tam irysy.

Tyle mówią legendy, bo dokładnych faktów z życia Haci Bektasza nie znamy. Nikt nie wie dokładnie, kiedy się urodził, kiedy żył ani kiedy zmarł – musiało to być gdzieś na przełomie XIII i XIV wieku.

Wtedy w Persji i Anatolii niezwykłą popularnością cieszą się bractwa sufickie – islamski odpowiednik zakonów żebraczych. Na ich czele stoją charyzmatyczni liderzy, którzy ze skostniałych już lekko nauk imamów i kalifów próbowali wydestylować czystego Allaha, takiego, co kocha człowieka i chce, by ten, zamiast utknąć w studiowaniu jego nauk, był po prostu szczęśliwy. Sufi czczą go przez śpiew i taniec, nie odmawiają sobie alkoholu i innych używek, a ze ścisłego postu w ramadanie wyłączają owoce, potem nawet wyłączają cały post; bektaszyci przestrzegają

go tylko przez pierwszych dziesięć dni. O ich praktykach można przeczytać więcej w książce Stanisława Gulińskiego „Alewizm i bektaszyzm. Historia i rytuał”, a także w pracy Marii Naganowskiej „Tureckie bractwa sufickie”, dostępnej na stronie www.orient.uw.edu.pl.

– Do dziś mamy problem, żeby odpowiedzieć, w co dokładnie wierzymy – śmieje się Alert Nausufi, jeden z bektaszytów, których spotykam w Tiranie. – Każdy pewnie trochę w co innego.

– A jest coś pewnego?

– Że nie ma Boga prócz Allaha. Że Mahomet jest jego prorokiem. Że ważna jest jałmużna dawana biednym.

Ale już inne typowo muzułmańskie wierzenia nie są dla nas tak oczywiste. Nie modlimy się pięć razy na dzień, jak inni muzułmanie. Szariat – czyli prawo islamskie – też obowiązuje tylko tych mniej wtajemniczonych – wtajemniczeni słuchają swoich duchowych mistrzów.

Nic dziwnego, że i wśród sunnitów, i wśród szyitów bektaszyści uchodzą za odszczepieńców. Najbardziej popularni byli wśród janczarów, dzielnych wojowników, których sułtan wybierał spośród dzieci swoich chrześcijańskich poddanych. – To dlatego, że bektaszyzm był bardzo elastyczny, przejął od chrześcijan wiele praktyk – mówi Elia Erabara, albański dziennikarz, który zajmował się wierzeniami muzułmańskich bractw. – Oni mają wspólny posiłek, który nazywają *muhabbet* i który w założeniach przypomina waszą komunię. Mają też *magfirat-i zunub* – to jest coroczna rozmowa z mistrzem duchowym, któremu zwierzasz się ze swoich grzechów i słabości. Wypisz wymaluj jak wasza spowiedź! Dla chłopców, którzy byli zabierani z chrześcijańskich domów jako nastolatki, taka religia była dużo łatwiejsza do zaakceptowania niż całkowicie obcy kulturowo islam.

Baba – czyli duchowy ojciec bektaszytów – był z janczarami i w czasie przegranej bitwy pod Wiedniem, i na wszystkich najważniejszych bitewnych polach, na które trafili wojownicy sułtana. Ubrany w zielony płaszcz, był dla nich tym, czym dziś u nas jest biskup połowy Wojska Polskiego. Janczarzy, idąc do walki, wykrzykiwali imiona Allaha, Mahometa i Hacı Bektasza właśnie.

Sielanka trwała przez kilka stuleci, aż janczarzy za bardzo urosli w siłę; kolejni sułtani nie mogli zrobić kroku bez ich aprobaty. Oni zaś, jeśli godzili się na jakieś zmiany, to tylko poprawiające ich pozycję. Sułtan Selim III, kiedy próbował położyć temu kres, został w 1807 roku przez janczarów zamordowany. Dopiero dwadzieścia lat później jego następcą Mahmud II zlikwidował ich korpusy. Dla buntowników nie miał nawet cienia litości – wybijał ich w pień. Był to bolesny cios nie tylko w janczarów, ale we wszystkich bektaszytów.

Kolejny przyszedł dwadzieścia lat później, gdy reformujący Turcję Mustafa Kemal Atatürk zdecydował, że wszystkie bractwa sufickie mają zostać zlikwidowane. Właśnie wtedy bektaszyci przenieśli swoje centrum do Albanii, na obrzeża stołecznej Tirany.

3.

Światowe Centrum Bektaszyzmu nie wygląda na światowe centrum czegokolwiek. Mały hotelik, dom sufich, wreszcie – dom modlitw i reprezentacyjne sale Baby Mondiego. Wszystko to wygląda jak siedziba bogatszego polskiego proboszcza.

– Oprowadzę cię, chcesz? – proponuje Eldi, student, którego ojciec pracuje jako kierowca Baby.

– Pewnie, że chcę! – odpowiadam, w końcu i tak czekam na audiencję.

– Tu się modlimy – mówi Eldi i prowadzi mnie do sali, w której patrzą na nas z obrazów Haci Bektasz i Balim Sultan, wielki XVI-wieczny reformator bektaszizmu, o którym sufi opowiadają sobie podobne historie, jak chrześcijanie o świętym Franciszku (w skrócie: oswajał dzikie zwierzęta, jeździł nawet na tygrysie, wszystkim kazał żyć w zgodzie). – Tu odbywają się spotkania derwiszów – Eldi pokazuje pokój na piętrze, dużo uboższy od pozostałych, z wyraźnymi śladami gorszych czasów – zaciekami i odchodzącą farbą – na ścianach. – Enver Hodża, komunistyczny dyktator Albanii, zakazał nam wyznawać jakąkolwiek religię – dodaje Eldi. – Za jego rządów poprzedni Baba, Reshat Bardhi, trafił do obozu pracy. W naszym centrum działał wtedy dom starców. Za pielgrzymki do świętych miejsc, czyli *tekke*, można było iść do więzienia – Eldi prowadzi mnie na grób Baby Reshata, który spotykał się w Watykanie z Janem Pawłem II i był głęboko poważany przez wszystkich Albańczyków.

– Zmarł w zeszłym roku – mówi Eldi po krótkiej modlitwie przy jego grobie, w czasie której trzy razy pogłaskał nagrobek. – Z całego świata przyjeżdżają ludzie, żeby go poprosić o zdrowie i powodzenie. Jak ktoś nie może przyjechać, przysyła ręcznik. Widzisz, kilka z nich leży na jego grobie. Potem odsyłamy je wiernym. Wielu już zostało przez Babę Reshata uzdrowionych, ostatnio jeden mężczyzna z bezpłodności. Nie mogli z żoną mieć dzieci, przyjechali się pomodlić, i tydzień później ona zaszła w ciążę. A ty nie odwracaj się tyłem, jak wychodzisz z tego mauzoleum. Trzeba wyjść rakiem, o tak.

Zbliża się czas mojej audiencji, wracamy więc do domu Baby Mondiego i grzecznie ustawiam się w kolejce między delegacją samorządowców z miasta Vlore,

przedstawicielami Studenckiego Związku Bektaszytów i wiernymi z Tetova w Macedonii, którzy przyjechali ze swoim Babą – Abdulmutallabem.

– Chcemy poskarżyć się na władze Macedonii – żali mi się Baba Abdulmutallab. – Prześladowają nas. Macedońscy islamiści już kilka lat temu zajęli naszą główną *tekke* i nie chcą jej opuścić. A rząd nic z tym nie robi.

I Abdulmutallab tłumaczy mi zawiłości macedońskiej polityki wyznaniowej, a jego wierni słuchają z nabożną czcią. Jest kolejnym z bektaszytów, z którym gadam trochę po turecku, trochę po niemiecku, a trochę na migi; żywym dowodem, że jak ktoś chce się dogadać, zawsze znajdzie sposób. Mówię mu o tym.

– Nasza religia jest religią dialogu – odpowiada Abdulmutallab, ale widzę, że ten komplement bardzo mu się spodobał.

– A jak pan właściwie został derwiszem? – pytam.

Abdulmutallab uśmiecha się szeroko i pokazuje palcem na serce. – To ma się tutaj. Przez całe życie – mówi. – Pracowałem w Macedonii w biurze jako księgowy. Źle zarabiałem, więc pojechałem do Niemiec. Tam w Düsseldorfie dwanaście lat pracowałem na stacji benzynowej; nalewałem paliwo z dystrybutorów, aż któregoś dnia pojechałem do Berlina i zobaczyłem ubranych tradycyjnie bektaszytów. Przypomniałem sobie, że w dzieciństwie sam chodziłem się modlić do *tekke*. Na widok tych mężczyzn coś w moim sercu wreszcie się uruchomiło. Kilka dni później wróciłem do Macedonii i znalazłem swojego mistrza.

– Kto nim jest? – dopytuję.

– On – uśmiecha się Baba Abdulmutallab i pokazuje na bektaszyckiego szefa wszystkich szefów, Babę Mondiego, który właśnie wszedł się z nami przywitać.

4.

Baba Mondi ma na głowie białą czapkę – taką samą, jaką wieki temu nosili janczarzy – a na szyi dwunastokątny kamień zwany *palihenk*. Jego świta – ojciec Eldiego i jednooki majordomus – zaczyna rozdawać nam cukierki o smaku kawy. Mnie Baba sadza na honorowym miejscu, tuż obok siebie.

Wiem o Babie, że w czasach komunistycznych był oficerem albańskiej armii. Wielu takich jak on po upadku komunizmu szukało sensu życia w religii – część jest dziś świadkami Jehowy, część zagorzałymi katolikami. Ale żaden nie zaszedł tak wysoko, jak on (inna rzecz, że bektaszytom wybranie Mondiego na przywódcę mogło przyjść o tyle łatwiej, że trochę się wpisywał w tradycję janczarską).

Wiem też, że jak wszyscy derwisze lubi doczesne przyjemności. Że albański internet obiegly niedawno zdjęcia, na których widać Babę z kieliszkiem rakii. Muzułmanom skacze wtedy ciśnienie, ale Baba nic sobie z tego nie robi. Chciałbym zapytać o jego drogę od wiary w komunizm do wiary w Allaha. I o trudności bektaszytów jako ludzi środka. Takich, co chcą dogadać się i z muzulmanami, i z chrześcijanami. Ostatnio Baba spotkał się nawet z delegacją ortodoksyjnych żydów.

Tyle że spytać nie mam kiedy. Spędzam u boku Baby pół dnia. Witamy delegację z Macedonii, potem delegacje samorządowców i studentów. Baba dla każdego znajduje ciepłe słowo, z każdym się wita. Wzruszeni wierni całują go po rękach, przytulają, proszą o modlitwę. Później jestem zaproszony, by przejść się z Babą na grób jego poprzednika, gdzie – jak Eldi – Baba trzy razy głaszczce nagrobek. Potem znowu witamy delegacje: z miasta Durres, z innej dzielnicy Tirany; delegację przedsiębiorców i delegację albańskich emigrantów z Grecji.

Witamy tak wszystkich przez pół dnia, aż dzień się kończy i Baba mówi, że miło było mnie poznać, ale za chwilę musi wyjechać z miasta.

– Jutro mam spotkania w Szkodrze, na granicy z Czarnogórą – tłumaczy.

– Ale ja mam do pana mnóstwo pytań! – protestuję.

– Sufi uczą przez przykład, a nie przez gadanie – odpowiada Baba. – Dlatego pokazaliśmy panu dokładnie, jak żyjemy – to nie wystarczy? No dobrze, może mi pan zadać dwa – Baba Mondy zatrzymuje się w progu.

– Jak to możliwe, że pan, muzułmanin, ma w domu obraz z prorokiem Mahometem? – pytam więc.

– Cóż, my, bektaszyci, jesteśmy... trochę inni – Baba Mondy zaczepnie się uśmiecha.

– A co jest w życiu najważniejsze?

– Jak to co? Miłość! – Baba klepie mnie po ramieniu, poprawia brodę, pakuje się do samochodu i odjeżdża w stronę granicznego miasta Szkodra. W oślepiającym, jasnym świetle zachodzącego słońca samochód znika.

Andrzej Stasiuk

Pisarz

Zapiski mołdawskie

Błąkałem się po peryferiach dawnego imperium i odnajdowałem jego resztki, fragmenty szkieletu.

Mogłem pojechać do Włoch. Napisałi w ramach jednego tzw. projektu, żebym pojechał na trzy tygodnie i opisał ten kraj. Byłem kiedyś we Włoszech. Nawet dwa razy. Raz w Toskanii i raz w Kalabrii. Tu i tam po tygodniu.

Po prostu podróżowałem. Wszystko mi się podobało, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Wyjeżdżałem z tego kraju taki sam, jak przyjeżdżałem. Odpisałem, że mogę pojechać na Białoruś, bo tam nikt nie jeździ. Albo na Ukrainę. W każdym razie gdzieś na Wschód. Z tej prostej przyczyny, że zanim ten Wschód przepadnie gdzieś w Pacyfiku, to wcześniej pochłania około dziesięciu tysięcy kilometrów ładu. A to w ludzkim wymiarze przypomina coś w rodzaju nieskończoności. Ale mi odpisali, że ze Wschodu to mają tylko Mołdawię. W tym odpisaniu było coś przepaszającego i pomyślałem, że trochę się wstydzili ten kraj komukolwiek zaproponować. Odpisałem natychmiast, że jadę.

Załadowałem na tylny bagażnik rower. Przednie koło wystawało, więc je odkręciłem i schowałem do środka. Dobry pomysł, bo przednie szybko się zdejmuje, a ostrożność nie zawadzi. Wrzuciłem jeszcze śpiwór, namiot, ku-

chenkę gazową, czajnik, dwa metalowe kubki, łyżkę, którą rok wcześniej kupiłem w Ułan Bator, porządny nóż i saperkę. Jeszcze trochę ubrań, zapasowe rowerowe dętki i oponę, i na początku września pojechałem.

Teraz kończy się listopad, wieje wiatr z północy i szadź osiada na drzewach. Próbuję sobie przypominać wszystko po kolei, ale jedne obrazy są wyraźniejsze od innych. Ten żółty pies gdzieś na południu, we wsi koło Cantemir. Leżał na zakręcie szosy wielki, zakrwawiony i martwy. Wciąż z łańcuchem na szyi. Wyrwał się na psią wolność, by zginąć. To było dość trudne, bo ruch samochodowy panował tutaj znikomy. Ciało się lekko wzduło, więc musiał leżeć już jakiś czas. Ludzie przechodzili obok i nikt nic nie zrobił. Nawet nie ściągnął za ten łańcuch na pobocze. Takie rzeczy mi się przypominają. Martwe zwierzęta i przenikliwa, słodkawa woń padliny.

No tak, ale padł mi przenośny dysk i nie mam żadnych zdjęć. Muszę sobie wszystko przypominać. Muszę powracać do tego upału, który nie stygł nawet w nocy. I do woni padliny, którą poza miastem niemal wszędzie można było odnaleźć. W Trebujeni stanąłem w tym hoteliku przy muzeum. Złożyłem rower i całymi dniami po prostu jeździłem w skwarze. Czasami zapędzałem się w jakiś ciasny wąwóz, tak jak ten przed Butuceni. Zrobiło się tak wąsko, że musiałem zsiąść i przedzierać się przez kolczaste zarośla. To tu, to tam leżały czarne krowie szczątki. Nieruchome powietrze, gorący smród i robiło się jak w bezdźwięcznym horrorze, gdy słońce świeci prosto z góry. Nie chciałem wracać. Wziąłem rower na ramię i wdrapałem się ledwo żywy na górę, na płaskowyż.

Albo wyjeżdżałem wysoko ponad wieś, na skraj skalistych urwisk, i pustoszyłem winnice. Zakradałem się to tu, to tam, przysiadłem w cieniu i jadłem czerwone albo białe. Były niewielkie, ale bardzo słodkie. Popijałem wodą i partryłem na ogromny krajobraz z meandrem rzeki, jasnymi skałami i białą wieżą cerkwi. Wieś leżała w dole, w jarze rzeki. Winogrona, woda i rower. Całe dni. W stojącym upale. I co jakiś czas ten słodkawy zapach zwierzęcych zwłok. W dołach, w rowach, przy drodze. Znajdowałem żebra, rogate krowie łby, bydłce nogi wciąż jeszcze z czarną sierścią. Potem widziałem, jak wiejskie kundły drapią się w górę po skałach niczym kozice, by dotrzeć do tych ni to cmentarzysk, ni to wysypisk. No, ale było coś bardzo starego, najstarszego w tej mieszaninie życia i śmierci. W tych kiściach winogron i kościach. Wino i padlina. Wieśniacy wyjeżdżali tutaj swoimi furkami, by pielęgnować winnice, i wywozili zwierzęce resztki, by nie zatrzymały powietrza wsi. Przychodziły psy, przylatywały ptaki, nadciągały pochody mrówek. Potem już mimowolnie szukałem tej woni w powietrzu. Brakowało mi jej.

Z namiotem nic nie wyszło. Raptem dwa albo trzy razy go rozbiłem. Kraj był pusty, ale nie mogłem znaleźć miejsca na obóz. Wszystko było czyjeś. Na południu, gdzieś między Colibași a Vulcănești, zjechałem z asfaltu w kukurydziane pola. Ciągnęły się po horyzont. Wzgórze za wzgórzem. Pola pooddzielane były miedzami, a na miedzach rosły karłowate drzewa. Tam się skryłem, w takim pasku suchych zarosli. Wszystko trzeszczało i szeleściło. Odgrzałem puszkę z baranią konserwą. Popijałem wino. Zapadała noc. Robiło się coraz ciemniej i coraz ciszej. I w tej ciszy słyhać było najodleglejsze dźwięki. Ktoś rozmawiał w samotnym